



C.G. DREWS

TYSIĄC IDEALNYCH NUT

KIEDY
PASJA STAJE SIĘ
OBSESJA

ZIELONA
SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2019

www.zielonasowa.pl

TYSIAC
IDEALNYCH
NUT

C.G. DREWS

TYSIAC IDEALNYCH NUT

Przełożyła: Marta Faber

ZIELONA
SOWA

Tytuł oryginału: *A Thousand Perfect Notes*

Przekład: Marta Faber

Redaktor prowadzący: Anna Kubalska

Redakcja: Słowne Babki

Korekta: Ida Świerkocka

DTP: Studio 3 Kolory

First published in Great Britain in 2018 by The Watts Publishing Group

Text copyright © C.G. Drews, 2018

The moral right of the author has been asserted.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2019

Wydanie I

All rights reserved.

ISBN 978-83-8154-122-0

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl

Jesteś wart więcej niż tysiąc idealnych nut.



ROZDZIAŁ 1

Pragnie obciąć sobie dłoń.

Najlepiej w nadgarstkach.

Już nigdy nie czułby tępego zmęczenia zaczynającego się w opuszkach palców i sięgającego aż po łokieć. Czy to nie chore? Musi w tym być coś naprawdę niebezpiecznie złego, skoro w nocy, leżąc na twardym jak skała materacu, rozmyśla, jak odetnie sobie kończyny i zakrwawionymi kikutami wysmaruje na ścianach „HA!”. To byłoby jak scena z horroru.

I byłby wolny. Bez dłoni jest dla niej bezwartościowy.

Dla Maestro.

Dla swojej matki.

Jednak marzenia o obcięciu sobie rąk wymagają działania, a nie jedynie fantazjowania o nim. Działanie nie jest jego mocną stroną. Nie wchodzi w grę nawet coś tak małego, jak sprawienie przyjemności młodszej siostrze, aby zamiast trzymać się sztywnego grafiku nałożonego przez Maestro, spontanicznie zboczyć z drogi do domu i wstąpić do lodziarni na rozek karmelowego lodu z bitą śmietaną. Nawet nie próbuje. Dlaczego? Smak karmelowego lodu i wolność nie są tego warte?

Nie.

Nie jest ani typem buntownika, ani ryzykanta.

Nadaje się jedynie do fantazjowania. Chore marzenia o samookaleczaniu. A tak w ogóle to którą rękę by sobie odciął? Prawą czy lewą?

Te myśli, które niekiedy pojawiają się w jego głowie – to właśnie przeraża Becka Kevericha.

Zegar elektroniczny wskazuje na piątą dwanaście rano. Ciemno i zimno. W lecie jest mu łatwiej wygramolić się z łóżka, lecz teraz, gdy jesień objęła wszechświat nagimi, patykowatymi palcami, ma wrażenie, że jego budzik zaczyna wrzeszczeć w środku nocy. Powinien wstać dwanaście minut temu. Zadziwiające, że Maestro jeszcze nie dobija się do drzwi jego pokoju, złościąc się, że jest taki opieszły.

Beck podnosi głowę z poduszki. Chciałby w nią przeniknąć. Czy spał w nocy? Nadgarstki bołą go,

jakby zonglował betonowymi klockami. Skończył o dwudziestej trzeciej? A może o północy?

Palce jęczą: idioto, to była północ. Mówią też: ogrzej nas i pozwól nam dzisiaj rano odpocząć; zwiniemy się w pięść i będziemy walić w ścianę tak długo, aż się pogruchotamy. Jego palce są marudne, zrzęдлиwe.

Beck pociera wnętrza dłoni o siebie, chucha na odrętwiałe, zeszywniałe palce i siarczyście przeklina w świat. W tym momencie to szybsze niż zagłębianie się w pokłady nienawiści, jaką czuje do Maestro.

Podchodzi do przedmiotu będącego jego zgubą, jego życiem, wykładnią jego wartości.

Z hukiem unosi pokrywę fortepianu. Steinway to jedyna świetność tego pokoju. Zresztą i tak jest w nim niewiele rzeczy: łóżko, na którym spanie przypomina wtulanie się w skałę, połamane żaluzje w oknie, szafa z ubraniami z drugiej ręki, buty posklejane taśmą i wart dwadzieścia tysięcy dolarów fortepian. Ich nadzieja.

Jak mawia Maestro: Cała nadzieja w dobrym fortepianie, że *mein Sohn* poprawi *schreckliche* granie.

Beck mieszkał w Niemczech jedynie przez pierwsze lata życia, lecz z konieczności pozostał dwujęzyczny, no bo w końcu musi wiedzieć, gdy jego matka rzuca w niego obelgami. Jej uniesione kąciki ust i piorunujące spojrzenie też są całkiem wymowne.

Schreckliche znaczy ohydny. Okropny.

To słowo podsumowuje Becka.

Jesteś okropnym pianistą. Nie ma przed tobą przyszłości. Nie masz talentu. Czemu nie grasz szybciej, lepiej, czystiej? Dlaczego ciągle uderzasz w niewłaściwe nuty? Robisz to specjalnie? Graszżlespecialnietybezwartościowymały...

– Jesteś do dupy – mówi do siebie spokojnie Beck. – Zabieraj się do roboty.

To jego rutynowa gadka motywacyjna w zimne, ciemne poranki. Zabieraj się za *staccato*. Duodecymy. Ćwiczenia septym zmniejszonych. Ozdobniki – tryle dla jego zmrożonych palców do przebiegnięcia.

Obudzi Maestro – pewnie i tak już nie śpi i kipi ze złości, że zaczął później – oraz młodszą siostrę. Tak jak i sąsiadów, którzy go nie cierpią, a okoliczne psy zaczną wyć. Strząśnie sen z chwastów podduszających ścieżkę i z pękniętej w jakiejś pijackiej burdzie szyby oraz z bezdomnych, którzy czają się na pobliskim zawilgoconym, nieprzyjaznym dzieciom placu zabaw.

Do ósmej będzie miał wrażenie, że jego place są jak sflaczałe kluski, a powieki pokrywa warstwa cementu.

Nieustannie marzy o odcięciu sobie rąk, a możliwe, że też i uszu.

O odejściu stąd na zawsze.

Marzy o całkowitej ciszy, tak by ukryty gdzieś w nim załączek muzyki mógł się wydobyć. Hałas w jego głowie jest pełen komponowanych przez niego piosenek. Maestro nic to nie obchodzi, więc pozostają one w niej zamknięte.

Graj muzykę z nut na papierze. Nikt nie jest zainteresowany utworami w twojej głowie.

Drzwi od pokoju otwierają się zamasyście i z rykiem dzikiego kota pojawia się w nich jego młodsza siostrzyczka. Joey jest jak nastawione na największą prędkość i najgłośniejszą opcję kłębowisko splątania i płam od dżemu na ubraniu. Od samego patrzenia na nią Beck czuje się wyczerpany.

– Za piętnaście minut wychodzimy z domu – wydziera się. Jest szczerze przekonana, że Beck podczas grania nie słyszy niczego poza muzyką. Oczywiście że ją słyszy, lecz po prostu nie umie robić kilku rzeczy naraz i jeszcze odpowiadać.

Huragan muzyki zamiera, z palców sączy się cisza. Ulga. Gdyby w tym momencie Chopin wszedł do sypialni, Beck udusiłby go sznurówką. Nienawidzi tych kawałków, których nauczania się wymaga od niego Maestro.

Jest po ósmej, a on nawet jeszcze się nie ubrał i nie zjadł śniadania.

– Nie znoszę poniedziałków – mamrocze pod nosem, sięgając po koszulę do szkoły. Gdy się mieszka

w pokoiku wielkości skrytki na miotły, przynajmniej wszystko jest w zasięgu ręki.

Joey marszczy buzię.

– Dzisiaj nie jest poniedziałek.

– Codziennie jest poniedziałek.

Nieustanny ciąg poniedziałków. Naprawdę znajduje się w horrorze.

Dopiero za drugim razem obolałym palcom udaje się zapiąć guziki.

– Przygotowałam dla ciebie drugie śniadanie – obwieszcza Joey, wspinając się na ramę drzwi. – To niespodzianka. Przepyszne śniadanko niespodzianka.

– Brzmi przerażająco. – Beck zwija dziurawą górę od pizamy w kulkę. Ciska ją w twarz siostrze, a ta piszczy z oburzeniem i zeskakuje.

By udowodnić, że ma rację i, no dobrze, dlatego że Joey lubi teatralne sceny, Beck opada na kolana, składa ręce i zawodzi niczym nabity na pal morświn. Jeszcze nie zaczął jej błagać, a mała już chichocze.

– O pani, nie karz mnie! Proszę. Cóż takiego uczyniłem, by sobie zasłużyć na te tortury?

– To nie tortury! – oburza się Joey. – Wspaniale gotuję. Mimo że jesteś złym bratem, bo się wczoraj po mnie spóźniłeś.

To z powodu nauczyciela angielskiego, pana Boyne’a, który nagle rozgorzał gadką „zależy mi na twoich okropnych stopniach i dam ci ochrzan, żeby to

udowodnić”, co między innymi oznaczało, że Beck miał się wykazać zrozumieniem tekstu. Oczywiście żadnego „zrozumienia tekstu” nie było. Toteż Beck spóźnił się do przedszkola po siostrę. Przypominająca mu z twarzy wielkiego kraba przedszkolanka naskoczyła na niego, że też ma „obowiązki”.

– Gdybym była wiedźmą, zamieniłabym cię w ropuchę – mówi poufnie Joey – bo wszyscy się wściekają, że przez ciebie musimy jechać do miasta, a mama mówi, że niedługo znowu tam pojedziemy.

Skręca go na samą myśl o tym. Zbliża się stanowy konkurs mistrzowski, po to by wszyscy musieli się stresować. Co za radocha... A porażka z Maestro nie wchodzi w grę.

– Potem bym cię odczarowała w chłopca. – Siostra łagodnieje. – Lubię cię, mimo że w kółko grasz to samo, bo mama mówi, że jesteś *Schwachkopf*...

Beck zakrywa jej usta dłonią.

– OK, uspokój się. Moje delikatne poczucie wartości nie poradzi sobie z niczym więcej. Czy Maestro ma już pianę na ustach?

Joey rzuca mu krzywe spojrzenie zza zakrywającej jej buzię dłoni. Beck zabiera rękę.

– Przepraszam, że ciągle gram ten sam utwór. Ćwiczę. Przygotowuję się do tego ważnego koncertu.

Ćwiczy czy nie i tak wściekłość Maestro nie będzie miała granic.

– Nachyl się do mnie bliżutko – mówi Joey – a wyszepecz ci w ucho, że ci wybaczam.

Beck robi to bez zastanowienia. Siostra, wyjął niczym kaktusowy kociak, skacze na niego. Chłopak zapada się w stertę splątanych podkoszulków i niepasujących do nich guzików.

Joey to zaledwie jego przyrodnia siostra – Maestro ma skłonność do krótkich kończących się krzykami związków i ani on, ani Joey nie znają swoich ojców – jednak w jego mrocznej egzystencji jest jak promyczek słońca. Beck musi ją kochać dwa razy mocniej, aby zrównoważyć grzech nienawiści, którą czuje wobec matki.

Jak było do przewidzenia, na śniadanie są płatki kukurydziane z dodatkiem dezaprobaty. Czy kiedykolwiek Maestro nie przywitała go piorunującym spojrzeniem? Siedzi w kącie maleńkiej kuchni o żółtawo-pomarańczowym wystroju, który prawdopodobnie był modny trzydzieści lat temu. Kogo Beck nabiera? Ten odcień żółtego nigdy nie wyglądał dobrze. Obok kubka z kawą leży przypalony tost z masłem. O ile nie przeszkadza komuś stukanie się łokciami, przy stole kuchennym mogą siedzieć trzy osoby. Teraz jednak, jak zwykle zresztą, jest usiany arkuszami z nutami. Maestro wyklada na uniwersytecie muzykalność i teorię muzyki. Becka zastanawia, czy często studenci przez nią płaczą.

Prześlizguje się koło niej, mówiąc sobie w duchu, że zrobił wszystko dobrze. Matka nie ma powodu do złości. Wszystko jest w całkowitym porządku. Sięga po dwie miski, podczas gdy Joey płacze mu się koło nóg i papla o tym, że gdy dorośnie, to będzie kucharzem.

– Nazwę moją restaurację – nabiera głęboko powietrza, żeby wrzasnąć – „Najlepsze żarcie u Joey!” – Dźga brata łyżką w żebra, by zwrócił na nią uwagę. – Świetna nazwa, prawda?

– Hej, tak. – Zabiera jej łyżkę z ręki.

Najpierw napełnia płatkami miseczkę Joey, przez co dla niego pozostały pokruszone kawałeczki i kukurydziany pył. Napęczniały od mleka będzie jak szlam. Cudownie. Stawia miseczkę siostry na różowym dziecięcym stoliku stojącym w rogu i oparłszy się o lodówkę, zjada swoje płatki.

Joey opisuje ze szczegółami, jak będzie wyglądał jej fartuch szefa kuchni. Gada coś, że będzie miał kształt jednorożca. Nikt jej nie słucha.

Beck obserwuje siekający nuty czerwony długopis Maestro. Prace studentów będą wyglądały, jakby kogoś na nich zamordowano.

Ogląda plastikową torebkę ze zgniecioną kanapką. Joey ma bzika na punkcie robienia mu drugiego śniadania. Wyczuwa zapach masła orzechowego, sosu pomidorowego i... Czy to są muszelki surowego makaronu? Wolałby nie wiedzieć.

– Spóźnisz się. – Głos Maestro jest głęboki i chropowaty. Nawet gdyby nie miała temperamentu byka i tak wygląda onieśmiałająco: szerokie ramiona, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, burza sztywnych czarnych włosów przypominających szczecinną szczotkę i długie pajęczaste palce stworzone do grania na fortepianie.

Beck szybko wypcha do ust ostatnie grudki kukurydzianego mułu i biegnie po plecaki. Do swojego wkłada nietkniętą pracę domową i kanapkę. Więcej czasu poświęca plecakowi Joey, sprawdzając, czy siostra ma czyste ubrania do przebrania się, czy jej gumowce są suche, a kurtka w kolorach tęczy nie jest zbyt brudna. Palcami przeczesuje kręcone włosy, sklezione taśmą buty lądują na jego stopach. Jest gotowy.

Joey wyskakuje ze swojego pokoju ubrana w ogrodniczki. Na opornych na czesanie czarnych lokach ma różową, luźną czapkę. Chwyta z jego rąk kurtkę i tanecznym krokiem zmierza do drzwi wejściowych. Na szczęście w przedszkolu nie ma regulaminu dotyczącego stroju. Beck od tak dawna nosi tę samą szkolną koszulę, że nie jest już czerwona, lecz raczej różowata.

Już mają wybiec z domu, gdy Maestro odsuwa papiery i mówi:

– Chwileczkę, *mein Sohn*.

Naprawdę? To musi być akurat teraz? Nie mogła ten jeden raz pozwolić, aby wyslizgnęli się za drzwi – z dala od jej włosów i bez uprzedniego przegnania go przez rozżarzone węgle?

Joey w błyszczących gumiakach kopniakiem otwiera drzwi.

– Ścigajmy się! Będę pierwsza! – wrzeszczy.

Beck cofa się do kuchni. Idzie powoli ze wzrokiem wlepionym w brzydką kafelkową podłogę. Jeśli nie będzie patrzył w oczy tygrysowi, to może nie zostanie pożarty? Pewnego dnia po prostu wybiegnie przez te drzwi i, zamiast zachowywać się jak posłuszny szczeniaczek z rezygnacją oczekujący kolejnego kopniaka, choć raz przeciwstawi się matce.

– *Ja, Mutter?* – Mówi po niemiecku, bo może w ten sposób uda mu się ją udobruchać.

Maestro odkłada czerwony długopis i rozmasowuje palce. Drgawki już się dzisiaj zaczęły. Drżenie rąk, które zniszczyło jej własną karierę i zmieniło ją w tornado w zajmowaniu się karierą Becka.

Bolesnie powolne sekundy są niczym ciosy w twarz Becka.

Musi się stąd wydostać.

Musi wyjść.

– Wstałeś za późno – mówi Maestro. – W tym domu nie ma przyzwolenia na *Faulheit*.

– Nie miałem zamiaru być leniwy. – No tak za-
spiał całe dwanaście minut... – Przepraszam.

Podlizuj się jej. To jedyny sposób, by wyjść z tego
żywym.

Maestro parska z niezadowolaniem.

– Nie stać cię na zaangażowanie i systematycz-
ność? Chcesz przestać robić postępy? – Podnosi
kubek. Trzęsie się tak mocno, że kawa się rozbry-
zguje. – A może to przejaw nastoletniego buntu? –
Z szyderstwem wymawia słowo „nastoletni”, tak
jakby nigdy nie była nastolatką. To zresztą całkiem
prawdopodobne. Beck zawsze sobie wyobraża, że
zamaszyście wkroczyła na ten świat jako zgorzkniały
gigant, gotowa zdzielić każdego fortepianem.

– Przepraszam.

Zwalcza w sobie potrzebę rzucenia okiem na
drzwi wejściowe, aby sprawdzić, jak daleko odeszła
Joey. Nie lubi, gdy siostra sama przechodzi przez
ulicę.

– *Ja*, no jasne, że teraz przepraszasz. Mała papu-
ga, która nic więcej nie umie powiedzieć. Leniwa
papuga, która... Patrz na mnie, gdy do ciebie mó-
wię! – Matka podnosi trzeszczący głos. Wyprosto-
wuje się, więcej kawy ucieka z jej kubka i ścieka po
nadgarstku.

Och, nie chce znowu przez to przechodzić. Spóźni
się.

– *Mutter*, proszę. Muszę iść do szkoły. – Beck pośpiesznie zerka na zegar.

Ręka matki wyskakuje nie wiadomo skąd i zdzieła go w twarz. Szok uderzenia odpycha go na kilka kroków. Ciągłe zapomina, jak ona szybko umie się poruszać.

– Masz mnie szanować! – warczy. – Szkoła nie ma znaczenia. Mówię do ciebie, i tylko to jest ważne.

Beck nic nie robi.

– W twoim życiu liczy się tylko fortepian. – Od jej słów drży tynk na suficie. – Twoje życie to piano. Za każdym razem, kiedy się lenisz, zamiast ćwiczyć, przynosisz mi wstyd. Okrywasz hańbą moje nazwisko. Do niczego nie dojdiesz, *Sohn*. Do niczego! Słuchasz mnie?

– *Tak, Mutter* – mówi do swoich butów Beck.

– Myślisz, że moja rada to taki żarcik? Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię!

Beck szybko podnosi głowę i wpatruje się w oczy matki. Maestro ciska kawę prosto w jego twarz. Prerażająca sekunda – ta przelatująca przez głowę myśl, że napój jest gorący i za moment jego skóra będzie cała poparzona. Kawa jest jednak letnia. Spływa po twarzy, moczy włosy i kołnierzyk. Beck czuje dławienie; zdecydowanie nie jest to łkanie, być może to wzbierająca w nim złość. Za plecami zaciska dłonie w pięści.

– Nadal uważasz, że sobie żartuję? – pyta Maestro.

Beck nie ociera twarzy. Stoi nieporuszony i ponownie patrzy jej prosto w oczy.

– Nie.

Maestro opuszcza pusty kubek, co Beck uznaje za pozytywny znak. Przynajmniej nie roztrzaskała mu go o czaszkę, aby w ten sposób dokończyć lekcję.

– Tak właśnie się czuję – ciągnie Maestro – kiedy rzucasz mi w twarz wszystko, co dla ciebie poświęciłam. A teraz idź do szkoły, *du Teufel*.

Ty diable.

Beck nie prosi o możliwość przebrania się. Nie zamierza ryzykować pozostawania blisko matki, która a nuż jeszcze zmieni zdanie i ciśnie mu kubek prosto w zęby. Dlatego jedynie przytakująco kiwa głową i biegnie do drzwi.

Do widzenia, mamó. Dziękuję, mamó. Co bym zrobił bez twojej rady, mamó?

Ma ochotę coś zniszczyć, zadać czemuś ból. Ale jedyne, co może zrobić, to cichutko i z szacunkiem zamknąć za sobą drzwi, odwrócić się i przywalić pięścią w ceglana ścianę budynku.

Nie za mocno.

Nie może poharatać dłoni, bo matka naprawdę by go zabiła.

Bąbelki krwi pojawiają się na kostkach palców, gdy idzie do Joey zbierającej na podjeździe chwa-

sty i mlecze, które porastają przerwy między zniszczonymi płytami chodnikowymi prowadzącymi do domu.

– To dla mojej pani wychowawczyni – z dumą obwieszcza dziewczynka.

– Na pewno bardzo jej się spodoba, że wybrałaś dla niej te chwasty.

Beck rozluźnia dłoń: idiota, idiota, idiota. Jest zadowolony, że nie podnosi głosu i zachowuje się miło. Nie dopuści, aby cokolwiek wpłynęło na to, jak odnosi się do Joey.

Siostra marszczy nosek.

– Dlaczego jesteś mokry?

Beck zakrwawioną dłonią bierze ją za rączkę.

– Och, to tylko taki żart.



ROZDZIAŁ 2

Może to wszystko to tylko żart.

Jego życie.

Ta szkoła.

To miejsce.

Może gdyby się uśmieł do łez, nie mogłoby by go to zranić...

Idioto.

Kogo chcesz nabrać? Nigdy nie będzie inaczej, więc po co nad tym tyle rozmyślać?

Najchętniej zostawiłby Joey przy przedszkolnej furtce i zwiął, lecz nie chce być takim starszym bratem. Ktoś musi wejść z nią do środka, popodziwiać upstrzony brokatem i owocowymi naklejkami schovek na rzeczy siostry oraz dziewięć artystycznych

wytworów, które zapomniała zabrać do domu. Za każdym razem wychodzi stąd z brokatem na dłoniach. Bez dwóch zdań brokat to wytwór zła magicznie przyczepiający się do ludzi, którzy najbardziej go nie znoszą.

Cała sztuka polega na ulotnieniu się z przedszkola, zanim wychowawczyni zdąży przypuścić atak. Zawsze zadusza Becka pytaniami bez odpowiedzi: Drugie śniadania Joey nie są zbilansowane. Dlaczego siostra nie ma owoców? Potrzebuje odpowiednich butów do zabawy. Gumiaki są niedopuszczalne. Spinacze nie mogą służyć jako spinki do włosów. Kiedy ich matka przyjdzie na rozmowę? Joey jest zbyt agresywna wobec innych dzieci. Czy w domu wszystko w porządku?

Beck wychodzi, zanim kot zdąży się rzucić na niego z pazurami. Nie chce, aby ktokolwiek zauważył jego wilgotną koszulę i kawową aurę.

Czy w domu wszystko w porządku? Ależ oczywiście. To przez drogi fortepian jego siostra w pudełku z drugim śniadaniem nie ma mandarynek ani kanapek z wędliną. Matka nie jest zainteresowana spotkaniami z nauczycielami swoich niezdolnych dzieci. On stara się, jak może, OK?

Spóźnia się na lekcje. Spóźniony, spóźniony, spóźniony. Zresztą i tak nikogo to nie dziwi. Jego szkoła to miejsce, w którym komórki w mózgu zamierają,

nikt nie oddaje prac domowych, a połowa piętnastolatków w jego klasie duka podczas czytania. Beck nie jest najgorszym uczniem. Z mozołem, ale radzi sobie z podstawami, a podczas gdy inni zadzierają z nauczycielami, on komponuje muzykę.

Przeważnie w głowie. Zapisywanie idzie mu bez nadziejn timer. Zamyka oczy, opiera brodę na rękach i tworzy. To jedyny sposób, aby przebrnąć przez dzień. Nie może się troszczyć o cokolwiek innego. Nie może.

Muzyka w głowie to jego ulga, jedyne, co go pasjonuje i o co dba. No dobrze, to i Joey. Gdyby to rozciągnąć i zaczęłoby go obchodzić coś jeszcze – na przykład co o nim sądzi Maestro albo że zawala szkołę, albo co tak naprawdę chciałby zrobić ze swoim życiem – byłby zbyt naciągnięty i cienki. Jego skóra by się rozdarła niczym cieniutki papier, a świat zobaczyłby, że składa się z mrocznych życzeń i makabrycznych marzeń. Dowiedzieliby się, że jego serce łomocze w rytm taktomierza Maestro, ponieważ jest nazbyt przerażone, by móc tego nie robić.

Co jest w tym najgorsze?

Ujrzeliby, jak pusty jest w środku.

Bycie pianistą zostało wszyte w jego skórę, ale na kościach wytatuowano szept: „Ty oszuście, ty symulancie”.

Lekcje angielskiego są najgorsze, ponieważ pan Boyne nie chce nikomu odpuścić. Zmusza Zezowa-

tego Mike'a – koleś mógłby zacząć nosić okulary i wyrównać wadę wzroku, ale co tam – do głośnego czytania, podczas gdy on z trudem literuje własne imię.

Beck w zamyśleniu bazgrze nuty na kartce z ćwiczeniami, czując, jak ołówek zapada się w wyłobienia w ławce. Ktoś przez całą szerokość pokrywy wyrył swoją opinię o szkole znany pięcioosobowym słowem zaczynającym się „g” i kończącym na „o”. Samo w sobie nie jest to aż tak niepokojące, jak fakt, że ten ktoś miał w szkole nóż. Beck w duchu ma nadzieję, że dzieciak zakończył naukę i już go tu nie ma, bo prawdopodobnie siedzi w więzieniu.

– ...dlatego właśnie niektórzy z was będą musieli dużo z siebie dać – mówi pan Boyne. – Z tego powodu pary nie są przypadkowe i nie, Avery, nie ma zamieniania się w parach. Chris, byłbym zobowiązany, gdybyś przynajmniej udawał, że jesteś na tyle zainteresowany lekcją, żeby na niej nie spać.

Pary? Projekt grupowy? Czy świat się dzisiaj na niego uwziął? Beck był tak zajęty wyłączaniem się z rzeczywistości, że nie ma bladego pojęcia, o jakie zadanie chodzi.

Pan Boyne kroczy między rzędami ławek i sypie nazwiskami.

– Jeśli musicie, poprzesuwasjcie ławki. Nie hałasujcie. Róbcie to cicho!

Dzieciaki przerzucają torby i książki, gdy odnajdują swoich projektowych partnerów, wzmagają się hałas. Większość z krzykiem zadaje pytania lub jęcząc, narzeka na to, z kim została sparowana.

– Wymiana osób, z którymi będziecie pracować, jest niedozwolona. Chwila, wszyscy na minutę się zatrzymajcie. Wyraźnie mówię, że nie ma żadnej wymiany w parach! Tak, to dotyczy także i ciebie, Avery. – Nauczyciel kontynuuje odczytywanie imion: – Emeka i Abby. Stephanie i Noah. Ajeet i... nie mogę się odczytać. Aaa, Mike. Zamieńcie się miejscami. Bez hałasowania. Zróbcie to teraz.

Beck oblewa się potem.

Pan Boyne przystaje przy jego ławce. Na widok pięciolinii z nabazgranymi na nich szesnastkami i ćwierćnutami unosi brew.

– Widzę, że pan Keverich jest jak zawsze żywo zainteresowany moim przedmiotem.

Beck żałuje, że nie uważał na lekcji na tyle, aby teraz przynajmniej wiedzieć, czemu go z kimś związane i skazano na śmierć.

– Beck i August. – Nauczyciel rusza dalej.

Beck celowo nie zwraca uwagi na inne dzieciaki, więc ich twarze i imiona są splątanych kłębków konfuzji. Nie ma z nimi nic wspólnego – nie ma komórki, internetu, unika uprawiania sportu, aby nie uszkodzić dłoni. A ponieważ pogrążony w swojej

muzyce ciągle gdzieś błądzi w głowie, dali sobie spokój z rozmawianiem z nim.

Zasada Maestro – żadnych kolegów ani czegośkolwiek, co by go odciągało od pianina.

– Dzięki grze kiedyś będziesz wielki – powtarza. – Przyjaciele tylko biorą i biorą, a potem zostawiają cię z niczym.

A jednak gdy przed jego ławką pojawia się wysoka dziewczyna o skórze muśniętej słońcem w podkoszulku z napisem „Ocalmy wieloryby”, Beck dobrze wie, kto to.

August Frey.

Typ dziewczyny, która na szkolny mundurak wkłada zrobione przez siebie podkoszulki, wygłasza monologi o żabkach nadrzewnych – nie, żeby Beck je kiedyś słyszał, po prostu słyszał o nich – ma popielate blond włosy i nie nosi butów.

Chwyta pustą ławkę obok niego, zrzuca na nią swoje książki i zeszyty, w których ma notatki o zadaniu, które mają razem wykonać. Beck zerka bokiem, aby je odczytać, lecz pismo jest maleńkie, a litery zbite, no i generalnie nie za dobrze mu idzie czytanie bokiem. Zresztą przodem też nie.

August uśmiecha się do niego leciutko. Beck spuszcza wzrok. Nigdy nie wie, jak ma się zachowywać wobec dzieciaków z klasy. Jeśli się uśmiechnie, mogą sobie pomyśleć, że chce się zakolegować, i co

wtedy? Będzie musiał nosić ze sobą blok techniczny z napisem: „Jeśli kiedykolwiek się z kimś zakoleguję, matka założy mi stryczek na szyję”.

Pan Boyne zakończył przetasowywanie klasy i powraca na przód sali. Zawsze nosi muszkę ze wzorkiem w małe owoce. Dzisiaj są to banany. Jak akuratnie.

– No dobrze. Wszyscy, co oznacza też pana, panie Keverich, patrzą na mnie i słuchają. – Beck mruga. Proszę, nich nikt nie oczekuje, że będzie używał mózgu. Jest na nogach od piątej rano, wygrywał na pianinie skale i pasażę, i dałby się pokroić za dziewięciogodzinną drzemkę. – Zostaliście dobrani w pary ze względu na umiejętności bądź ich brak. Uczeń, który kiepsko sobie radzi, jest w parze z uczniem, któremu zależy na dobrych ocenach. – Wymownie wskazuje wzrokiem.

– Ale to nie w porządku – pojękuje ktoś.

– To świetna motywacja do ciężkiej pracy – ciągnie nauczyciel. – Albo będziecie pracowali ciężiej niż dotychczas, albo w ogóle się wysilicie po raz pierwszy w tym roku. Macie okazję do podniesienia stopni przy wsparciu kolegi z pary. Nikomu nie wolno zmarnować tej szansy.

Beck przez przypadek rozdziawia usta. To zdecydowanie przypadek. Od kiedy to się odzywa na lekcjach?

– Żeby coś zawalić, trzeba się przede wszystkich postarać – rzuca.

Klasa rechocze. Ponure spojrzenie pana Boyne; zaciekawione jego przyszłej partnerki w projekcie z angielskiego.

– Każdy, kto jeszcze ma coś mądrego do powiedzenia, łąduje w gabinecie dyrektora. – Nauczyciel poprawia muchę. – A potem dyrektor już sobie porozmawia z waszymi rodzicami.

Och, jak strasznie. Jakby rodziców któregośkolwiek z dzieciaków w tej sali cokolwiek obchodziło. Większość z nich to prawie piśmienne duchy. W tym roku tu, w przyszłym będą pracowali w McDonaldzie.

Oczywiście poza Beckiem. Podczas gdy oni będą się bili o niskopłatne prace, on będzie sławnym pianistą.

No i wspaniale.

Pan Boyne odchrząkuje, tak jakby oczekiwał, że klasa się uspokoi.

Nie uspokaja się.

Podnosi głos i kołysze się na piętach. Czy sądzi, że jeśli będzie wyższy, uczniowie zaczną zwracać na niego uwagę?

Nie zwracają.

– Waszym celem jest napisanie eseju. Wypracowanie ma mieć dwa tysiące słów; po tysiąc na każdego ucznia, ze szczegółami, z cytatami i przykładami.

Przykładami na co?

– Termin oddania wypracowań za dwa tygodnie. Macie mnóstwo czasu, żeby poznać waszych partnerów. Możecie się spotykać po szkole albo, och, to już ustalcie między sobą.

Chwila, jakieś spotkania po szkole? To niemożliwe. Beck czuje, jak jego świat się dusząco zacieśnia.

– Pamiętajcie, jaki jest temat! Wypracowanie musi być szczegółowym porównaniem dwóch przeciwnych opinii...

– A jeśli we wszystkim się zgadzamy? – krzyczy ktoś z głębi klasy.

– To weźcie ślub – odparowuje pan Boyne.

Klasa chichocze.

– Z pewnością coś znajdziecie – kontynuuje belfer. – Przypominam, że nie wolno pisać o hobby i zainteresowaniach. Będziecie pisać o przeciwnych poglądach politycznych, moralnych lub religijnych. Przedstawcie przekonujący punkt widzenia. Odnoscie się z szacunkiem do opinii partnerów. Bądźcie inteligentni – przerywa w pół słowa i ponownie pociera muchę – o ile możecie.

Wygląda na to, że zdaniem pana Boyne’a to wyczerpuje temat.

– Mamy jeszcze dziesięć minut, więc zapoznajcie się ze swoimi parami i zacznijcie omawiać temat wypracowania. – Opada za biurko, najwidoczniej zakończywszy sprawę. Na zawsze.

Beck ma pytania. Po pierwsze, jak niby ma na to znaleźć czas? Po szkole? Wolne żarty! Po drugie, przeciwstawne poglądy polityczne? On nie ma żadnych poglądów. Nie ma niczego poza fortepianem i obolałymi palcami.

August odgarnia włosy za ramiona i przysuwa ławkę bliżej do ławki Becka. Siada na niej i opiera brodę na pięści. Klasa wybucha głośnymi rozmowami – całkowicie nieproduktywnymi – lecz August wydaje się od tego oddzielona banieczką cichego skupienia.

Skupienia na Becku.

Jest źle.

– Cześć – rzuca August.

– Jestem Beck – mówi i od razu jest mu głupio, bo przecież nauczyciel wykrzyczał wszystkie imiona.

– To zdrobnienie od jakiego imienia? Beckett?

– Mniej więcej. – Nigdy z nikim nie będzie rozmawiał o swoim pełnym imieniu. Przenigdy.

Czy już wspomniał, że nigdy tego nie zrobi?

August uśmiecha się niczym szelmowska nimfa leśna. Beck nie może oderwać oczu od jej ręcznie malowanej koszulki. Dlaczego uchodzi jej to na sucho, podczas gdy on musi zostawać po lekcjach za spóźnienia i opieszałość?

– Łał, przystopuj ździebko – mówi August. – Przytłaczają mnie te wszystkie informacje, którymi mnie zalewasz.

Beck czuje się jak w pułapce. Co takiego wydobywa się z jego ust?

– To całe zadanie jest głupie.

Zaraz. Czy on to powiedział na głos?

– Nie zaprzeczę. – August pochyła się do przodu. Jej ręce są pokryte esami-floresami namazanymi niebieskim długopisem, a jej oczy są równie skomplikowane co ocean.

Beck postanawia, że nie będzie na nie patrzył. Dziewczyna wyciąga pomarańczowy mazak, postukuje nim o jego ławkę i pyta:

– Co powiesz o tatuażach?

– A co to ma wspólnego z polityką?

– Etyka. – August zdejmuje z mazaka zatyczkę i dodaje wirujące ruchy. Na tle jej opalonej skóry pomarańczowy kolor długopisu niemal się z nią stapia. – W niektórych miejscach nie zatrudniają osób z tatuażami.

– To wydaje się... niewłaściwe.

August wzdycha.

– Też tak myślę. A nie powinniśmy mieć takiego samego zdania. Twoja kolej. Zaproponuj coś, muzyczny chłopaku.

Beck zamiera. Skąd ona? Nie, nie mogła. Z jego ust nigdy nie wypłynęło ani słówko o pianinie ani nawet nikt go nie przyłapał ze słuchawkami. Nie może wiedzieć o fortepianie. Chyba że... Spogląda

na kartkę zabazgraną nutami. Odwraca ją na drugą stronę i przykrywa dłonią usianą zaschniętymi drobkami krwi.

– Przywaliłeś komuś po drodze do szkoły? – pyta August.

Żeby tylko.

– Nie jestem muzycznym chłopakiem – mówi sztywno Beck.

Po dźwiękach wydawanych przez resztę klasy można sądzić, że wszyscy uznali to za imprezę zapoznawczą. Połowa dzieciaków wyciągnęła komórki.

– Możemy zestawić nasze gusta muzyczne, to też można zaliczyć do etyki. – August wyciąga zielony pisak. – No wiesz, kiedy ludzie myślą, że heavy metal jest zły. W każdym razie tak uważa mój tata. – Parska lekko. – W moim wieku grał w kapeli rockowej, a teraz ćwiczy jogę, słuchając Brahmsa. A ty czego słuchasz?

– Niczego.

Beck prędkiej by się udusił struną od pianina niż powiedział jej, że zajmuje się muzyką klasyczną. Który piętnastolatek przyzna, że pasjonuje się – zmuszony lub sam z siebie, co i tak bez znaczenia, skoro jest to całe jego życie – muzyką poważną?

Wrzask dzwonka na przerwę. Klasa zwija się jednym ruchem; wszyscy chwytają swoje torby i wykrzykują do siebie, o której się spotykają w weekend.

– No i wspaniale – rzuca August. – Już wiem o tobie prawie wszystko.

Ma okragłą buzię i skrzące się oczy, i nie pomyślałby, że jest uszczypliwa. Ale nie zna się na charakterze innych.

– Przepraszam. – Jego głos jest zbyt wysoki, zduszony. – Nie mogę się z tobą umówić. To znaczy, to się nie uda...

– Nie masz wyboru. – August nachyla się do przodu z obnażonymi, rzucającymi pogrożki pisakami. – Mamy dwa tygodnie i nie zamierzam zawalić tego zadania tylko dlatego, że jesteś leniwy.

Leń.

Najwidoczniej to prawda, skoro cały świat tak sądzi.

Beck usiłuje utrzymać neutralny wyraz twarzy.

– Muszę zaprowadzić siostrę do domu, a potem...

Gram na fortepianie tak długo, że moje palce zaczynają krwawić.

Oczy August się rozpromieniają.

– Przejdę się z tobą. Mieszkam przy alei Gully. Numer jedenaście.

I do tego mieszkają tak blisko siebie. Naprawdę? Czy wszechświat nie mógłby mu trochę odpuścić? Nie prosi o wiele.

– Ja na Dormer trzydzieści dwa – mamrocze.

– Wspaniale. Jesteśmy prawie sąsiadami. No plus minus trzy przecznice. Możesz zdecydować, na czyj dom dokonamy nalotu...

– Nie mogę.

August rzuca mu długie, ostre spojrzenie. To tak jakby zagniewał się na ciebie ocean. No ale jaki ma wybór? Maestro by... Postanawia, że nie będzie sobie wyobrażał reakcji matki, gdyby koleżanka ze szkoły weszła do ich domu z tym łobuzerskim uśmieszkiem na ustach i jasnymi oczami. Oczy August mówią, że nigdy nikt jej nie zawiódł. Szczęściara.

– Mogę cię o coś zapytać? – Długopis August postukuje o jego ławkę.

Sala wokół nich pustoszeje.

Beck wierci się lekko, co musiała odebrać jako przyzwalające skiniecie głową, ponieważ pyta:

– Dlaczego pachniesz kawą?

– Uwielbiam ją tak bardzo, że się nią perfumuję.

Dziewczyna szturcha go w lepki policzek. Beck niemal się wzdryga. No i świetnie, jak widać, August nie zna granic w przestrzeni osobistej.

– Fascynujące. A wiesz, co ja uwielbiam? Dobre oceny. Kocham je tak mocno, że się w nie ubieram. Serio. Na bal maturalny zamierzam zrobić sobie sukienkę z cenzurek z samymi szóstkami. – Zatyka nakładkę na mazak. Co za ulga, broń jest osłonięta. –

I zamierzam uczcić twój fetysz. Kiedy skończymy, zaproszę cię na cynamonowe latte.

– Chcesz mnie przekupić? – Beck nie wie, czy po dzisiejszym poranku kiedykolwiek będzie miał ochotę na kawę. Nie ma to jak oszalały, paniczny strach, gdy człowiek się zastanawia, czy zaraz będzie cały poparzony.

– Będiesz mógł ją sobie nawet wylać na głowę, a ja słowa nie powiem. – August się uśmiecha.

Beck nie umie określić, czy jest to uśmiech przyjacielski, czy złowieszczy. Możliwe że taki i taki. Jednocześnie?

– Może podczas przerwy obiadowej albo w drodze do i ze szkoły. Po szkole nie dam rady, bo mam młodszą siostrę. Chodzi do przedszkola.

– Już to słyszałam – mówi August. – To musi być dziecko wymagające mnóstwa uwagi. Nie może sobie pooglądać telewizji, a my w tym czasie spisujemy nasze opinie?

– Wyczuwam jedynaczkę.

August unosi ręce w udawanym, prześmiewczym geście poddania się.

– I tu mnie masz. Byłam tak idealnym dzieckiem, że rodzice woleli nie ryzykować, że kolejne okaże się katastrofą.

Beck ma gotowy komentarz, że widocznie była tak okropna, że rodzice zarzucili dalsze rozmnaża-

nie, lecz nad jego ławką pojawia się pan Boyne, a bananowa muszka znajduje się zaledwie centymetry od twarzy Becka.

– Panie Keverich, czy nie ma pan czasem wyznaczonej wizyty u dyrektora?

Beck zaczyna zbierać swoje papiery. August podrywa torbę z podłogi.

– Widzimy się przed przedszkolem – mówi, wychodząc.

Beck zostaje z rozdziawionym ustami. Kręci mu się w głowie. Ta dziewczyna nie uznaje arogancji jako odmowy. Musi się bardziej postarać. Oczywiście może wydobyć z siebie wewnętrzną Maestros i...

Nie!

Od zawsze sobie obiecuje, że będzie miły dla wszystkich. Zawsze. Byle nie był taki jak Maestro.

Pan Boyne poklepuje go po ramieniu.

– To będzie dla was ciekawe doświadczenie. – Uśmiecha się szeroko i popycha Becka do wyjścia z sali.

Ciekawe doświadczenie?

A może lepiej byłoby to nazwać jedną wielką katastrofą?

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl

BECK NIENAWIDZI SWOJEGO
ŻYCIA. NIENAWIDZI SWOJEJ
BRUTALNEJ MATKI.
NIENAWIDZI SWOJEGO DOMU.

Przede wszystkim jednak nienawidzi gry na fortepianie, do której zmusza go matka godzina po godzinie, dzień po dniu. Ale on nigdy nie zagra tak idealnie jak ona. Beck jest zbyt przestraszony, aby się przeciwstawić i ujawnić swoją prawdziwą pasję. Kiedy spotyka August, dziewczynę pełną życia, śmiechu i energii, zaczyna budzić się między nimi miłość i dojrzewa w nim myśl o ucieczce przed bolesną egzystencją.

Czy odważy się sięgnąć po wolność?

PEŁNA EMOCJI OPowieść o MUZYCE,
PRZEMOCY, ALE I NADZIEI.



Zajrzyj na:
zielonasowa.pl

15+
WIEK

ISBN 978-83-8154-122-0



9 788381 541220 >

Cena detaliczna:
29,90 zł (w tym 5% VAT)

Patroni:

na **EKRANIE**

 **granice.pl**
wszystko o literaturze

polki.pl